

Nie znajdziemy tu więc np. gwiazdy Dawida. Wiele jednak podpowie nam brak albo oszczędność symbolicznie używanego koloru. Lub gęstniejąca kreska, jakże dobrze oddająca to szczególne wyczuwanie na wszelkie, najdrobniejsze fizyczne bodźce – słuchowe czy wzrokowe, jakie właściwe bywa ukrywającym się lub uwięzionym. I sama nie wiem, co w kolejnej ilustracji bardziej mi podpowiada, że to również opowieść o wojnie. Symboliczny czerwony płaszczyk czy przez analogię – czerwony rowerek? Czy może jednak, tak różne od rumianych, okrągłych dziecięcych buź czasów pokoju, dziwnie spłaszczony twarz o okrągłych oczach? Twarze sympatycznych gnomów... Nie potrafiłam określić, skąd je znam, dopóki nie zobaczyłam – mogącej stać się społecznym plakatem – ilustracji do tekstu o pomocy sierotom z Litwy. Przepołowione granicznym kordonem oblicze – oczywiście, Stasys. Jakże typowy, celny „rusinkowy” cytat... Z kolei spadający bucik być może nas żartobliwie napomni, żeby wszelkie nieco karykaturalne przedstawienia traktować z dystansem i stosownym przymrużeniem oka. Bo w każdej kobiecie było i jest coś z Kopicuszką. Również w obfitej, moszczącej się na sofie i zgonionej z teje przez mieszkańców rozbitego terrarium Julka Tuwima, różowej matronie...

Uderza, jak ciekawie wszystkie te, jakże różnorodne ilustracje oświetlają się nawzajem. W jaki sposób poszczególne obrazy wchodzą z sobą dialog. W ilustracjach prasowych, w zderzeniu małej postaci z wielkim przedmiotem lub przytłaczającym światem, odnajdujemy te same schematy, co w książce dla dzieci. Widzimy, jak świat potrafi stracić kolory nie tylko w najtrudniejszej historycznie chwili, jak mityczny i rzeczywisty motek włości dający nadzieję na wyjście z przerażającego labiryntu historii, nagle zaczyna się dramatycznie kłębić w zupełnie innej współczesnej głowie. Mówiąc o zasadniczej wspólności uczuć, która dotyczy nas wszystkich i zawsze.

Ważną cechą jest nieoczywistość. Spójrzmy choćby na owe „jesienne” zegary. Tak optymistycznie przykuwające wzrok radosnymi kolorami. Dopiero potem zauważamy ten humorystyczny ślad „zębów czasu” – tak miły i równiutki, jak smakowite wgrzyzenie się w kromeczkę chleba. I ten szalony, bezrozumny sprint ku przepaści, ogłupiałej, pozbawionej indywidualności ludzkiej postaci.

Jeśli sięgamy do doświadczeń dzieciństwa, aby zrozumieć osobę, o artyście może można się czegoś też dowiedzieć sięgając do początków jego twórczej drogi. Co więc znajdujemy w tej nie tak odległej przeszłości? Np. zainspirowaną przez samą artystkę książeczkę. Wojciech Widlak dostał od niej trzy rysunki, dla których podstawą były krakowskie kanalizacyjne studzienki. Mówiono potem – a w chórze tym był i szacowny autor – że Joanna Rusinek to ten typ artysty, który potrafi pokazać magię, dojrzeć piękno i poezję w najbardziej pospolitych przejawach rzeczywistości. Pewien filmik, poetycka, pełna emocji opowieść poświęcona ni mniej ni więcej tylko... segregacji śmieci, potwierdza to w całej rozciągłości.

Podobno w dzieciństwie artystka dzieliła książki na te z obrazkami i nudne, najważniejszą zaś cechą obrazka jest według niej to, aby zapadł w pamięć. Gdy zastanawiam się, co mnie najbardziej zapadnie we wdzięczną pamięć z tej wystawy – to chyba te „scenki zbiorowe”. Z Dworca Zoo (kolejny dowcip) czy może z koncertu. Gdzie w zebranym w jednym miejscu lub przemierzającym się radosnym tłumku „anonimowych” przechodniów mamy przepyszną galerię „typków”, z których każdy ma bogatą indywidualną historię. Skąd te tłumki? Może np. z Lokomotywy. Oczywiście, sporo w wierszach dla dzieci właśnie tego typu rodzajowych wyliczanek. Dlaczego więc akurat tutaj przyszedł mi na myśl Tuwim. Bo porusza tę najpierwotniejszą strunę zapamiętanego obrazu. Szancera, ale i np. Srokowskiego, czy Lewitta i Hima. To taka najlepsza tradycja polskiej ilustracji – do której Joanna Rusinek (przy całej odmienności środków) nawiązuje. Nie ona jedna w tej generacji, ale – porównania pokazują – jak bardzo na swój sposób. Jej kolorowe tłumki nie zajmują agresywnie całej kartki, pokazują, jak bardzo poza ludźmi jest coś na świecie. Mają też drugie dno. W tym zbiorowisku pochłoniętych swoimi sprawami i nieco obojętnych na innych postaci, łatwo się małej, wrażliwej jednostce zagubić. Jednak przede wszystkim te mimo wszystko optymistyczne obrazki sygnalizują niezmordowaną opowiadaczkę własnych historii, które mogą się rozwijać w nieskończoność... Malowane akwarelą, rysowane, wycinane, podchodzone szeregiem celnych stylizacji, mniej lub bardziej dyskretnym kolażem. Ale aby to wszystko zobaczyć, trzeba po prostu sięgnąć do książek.

Beata Zborucka

Joanna Rusinek

asia@kreskaikropka.pl



Urodzona w 1978 roku. Absolwentka Wydziału Grafiki ASP w Krakowie. Graficzka, ilustratorka książek dla dzieci, autorka ilustracji prasowych, okładek książek i plakatów, współwłaścicielka studia graficznego *Kreska i Kropka*.

Współpracuje z gazetami i czasopismami (m.in. „Gazeta Wyborcza”, „Duży Format”, „Wysokie Obcasy”, „Tygodnik Powszechny”), projektuje okładki płyt, audiobooków i książek, współuczestniczy w produkcjach filmów animowanych (m.in. serialu dla dzieci p.t. „Wierszyki domowe”). Przede wszystkim jednak specjalizuje się w ilustrowaniu książek dla dzieci. Ma w swoim dorobku kilkadziesiąt projektów, w tym opracowanie takich tytułów jak „Piotruś Pan” czy „Jan Brzechwa dzieciom” oraz ilustracje do książek Agnieszki Frączek, Jarosława Miłkołajewskiego, Joanny Papuzińskiej, Michała Rusinka, Zofii Staneckiej, Danuty Wawilow czy Wojciecha Widłaka.

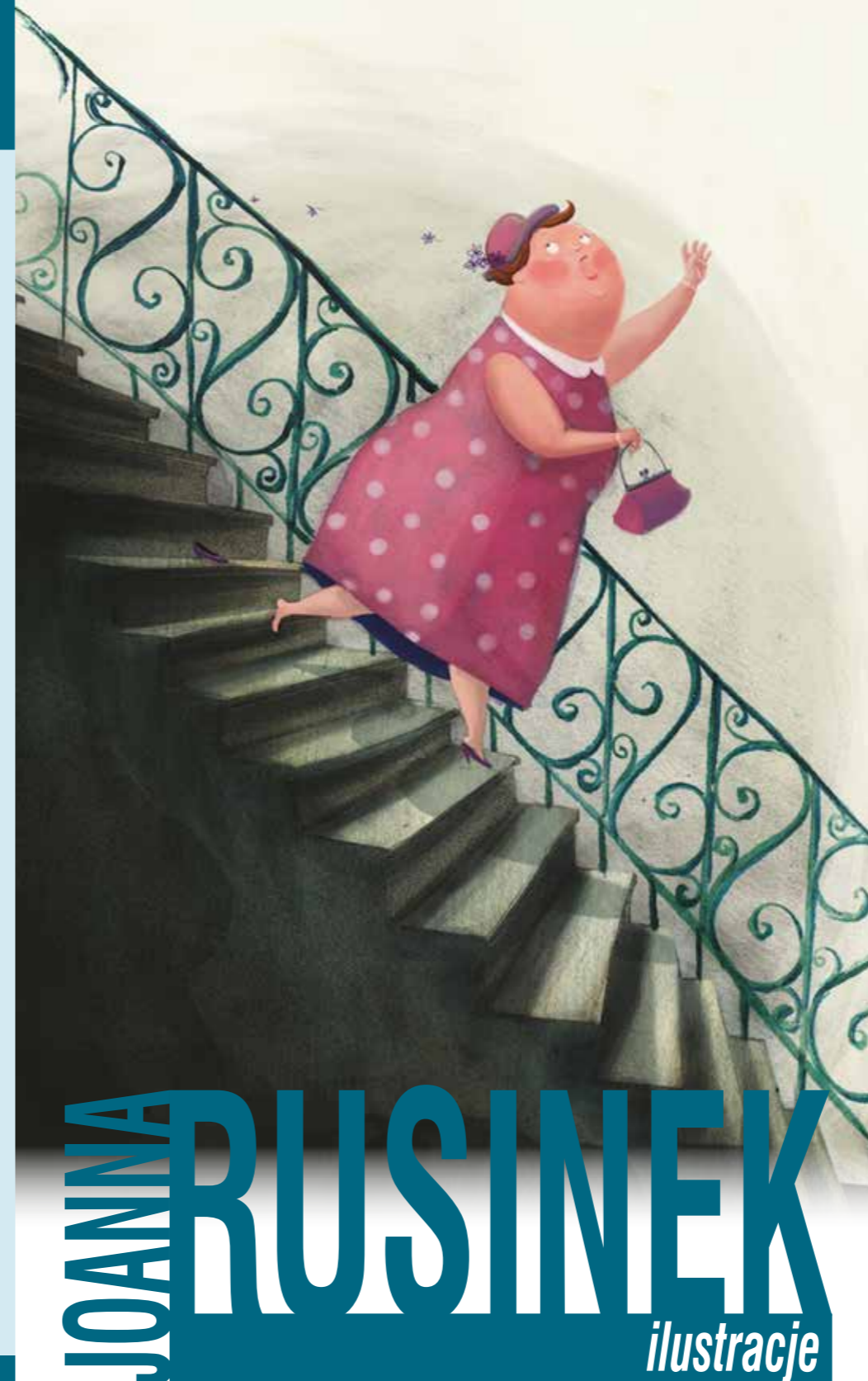
Zilustrowana przez nią książka Michała Rusinka „Mały Chopin” doczekała się publikacji w kilkunastu językach na całym świecie oraz zdobyła nagrodę Premio Samarelli w 2011 roku.

Mieszka w Krakowie.



Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego

organizator i wydawca Legnickie Centrum Kultury  
komisarz wystawy Janina Szlemo  
projekt graficzny, skład, redakcja Jasiak Zborucki, druk JAMS Wrocław  
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



JOANNA  
RUSINEK  
ilustracje

Galeria Satyrykon · Legnica, Rynek 36 · 2.11–31.12.2016

Zaczyna się od trepanacji czaszki, ponieważ urodę prześlicznej damy psuje zez. Osobom w świecie bywałym wystarczy rzut oka w okolicie szyi, aby wiedzieć, jak „dobrze” jest urodzona. Simon und Halbig. Figlarny i dziarski cicerone to odnaleziony w żebraczych odmętach targu staroci królewicz. Z charakterystycznym garbem na karku i długim nosem ma jeszcze fizycznie dużo wspólnego z mieszkającym w gawrze krewniakiem. Tego misia – pierwowzór wszelkich współczesnych „teddybearów” wymyślił i wyprodukował najzdolniejszy bratanek Margarete Steiff. Dalej mamy równie zasłużoną w świecie zabawek mechanicznych parę przybocznych motocyklistów – małpy Schuco. W filmie „Zabawki cesarza” rządzi prawdziwie doborowe towarzystwo. W osobie imperatora z łatwością rozpoznamy bywającego niegdyś w Legnicy multikolekcjonera Marka Sosenkę. A w większości książkowych ilustracji jednej z twórczyń tego dokumentalno-animowanego cacka, Joanny Rusinek, widzę ten sam charakterystyczny element. Chęć ożywiania lub zachowywania przy życiu tego, co w przeszłości w ogóle, ale i w tradycji polskiej ilustracji, najlepsze.

Jej nienachalne „komentarze” do rozmaitych tekstów, tak bardzo różnorodne i nieoczywiste, również te poświęcone aktualnym lub bolesnym problemom mają zarazem jakiś niedzisiejszy urok, dyskrekcję i elegancję. Kindersztuba? Oczywiście! Ale czego innego oczekiwać po artystce zamieszanej w radosne przyswajanie najmłodszym niuansów retoryki! Albo po domniemanej krewnej pewnego marynarza, co to żywo przypomina Człowieka Literę. Na własnej skórze nosi wszak dyskretnie dydaktyczne, żartobliwe przesłania tego, co najważniejsze w kulturze naszego, ogólnoludzkiego plemienia.

Pośród coraz bardziej rozpasanych strategii ilustratorskich zmierzających do zawładnięcia całą książką, a to przez snuć opowieści złożonych wyłącznie z obrazów (tzw. picturebook), a to przez tworzenie całkowicie autorskich dzieł z własnym tekstem, postawa Joanny Rusinek wydaje się na pierwszy rzut oka dość tradycyjna. I przecież nie chodzi tylko o to, że sama pisać to ona po prostu nie musi. W końcu ma na podrederiu – w osobie brata, Michała Rusinka – najlepszego „dostawcę” wierszyków, tłumaczeń i wszelkich innej maści tekścików, jakiego można sobie wyobrazić. Doskonale wiedzącego, co jej w duszy gra i równie doskonale władającego słowem. Przemiała lektura „Wierszyków domowych” wiele może zdradzić. Skąd to poczucie humoru i absurdu, wyczuwanie na wszelkie gry słowne i językowe zadziwienia, swoboda skojarzeń i upodobanie do przekazywania istotnych treści w najdrobniejszych, przemysłowych niuansach? Czyżby po prostu geny, czy może jednak wychowanie? Tak czy inaczej, tej rodzinnej współpracy zawdzięczamy kilka prawdziwie niebanalnych książek dla dzieci i wrażeń... Jednak przede wszystkim wydaje się, że ta tak mało „egocentryczna” artystka obdarzona jest tym rodzajem empatii, który czyni ją idealnym Czytelnikiem. Z prawdziwą pasją poszukującym właściwych kluczy, różnorodnych technik i środków. I właśnie – choć chwilami może nawet nie zawsze zdaje sobie sprawę, jak silny, subiektywny ślad pozostawia – jest autentycznym Współtwórcą. Wszelkich kreowanych słowem światów. W tym zwłaszcza takich, o których opowiadanie dzieciom wydaje się bardzo trudnym albo i po prostu nieco nudnym zadaniem.

Znajdziemy tu więc opowieść o życiu w Litzmannstadt przed nadejściem Wielkiej Szpery i o smażeniu powidel, dziecięce wyliczanki, dwie inne opowieści o wojnie i dwa przewodniki – po Pałacu Prezydenckim i Belwederze, wędrowkę dziecka-uchodźcy marzącego o dostaniu się do lepszego świata przez Morze Śródziemne, klasykę wiersza dla dzieci, ilustracje prasowe do reportażu, poświęcone takim problemom jak poliandria, bezdomność, długi... A to tylko niewielki, ale bardzo pieczołowicie wybierany fragment ilustracyjnego rogu obfitości, jaki Joanna Rusinek przystała nam w propozycjach na tę wystawę. Nie „załapały się” cudownie kolorowe i przypominające nieco malarstwo naiwne Celnika Rousseau przegody różowego mamutka... Ani nieco zaskakująca opowieść o tym, że ojciec rodziny wcale nie musi dziś być podobną do lwa (zwłaszcza tego, namalowanego przez Stannego) opoką. Nie dowiemy się też, tego nawet nie było w planach – że wiersze Szymborskiej widzi artystka na kształt zwykłej (!), sztydelkowej serwetki – dla nas, dla Polaków. Dla reszty świata (wydanie angielskie) – to raczej równie misterny, ale jakże silnie unerwiony listek.

Czy jednak – wracając do sprawy głównej – bo przecież każda wystawa ilustracji jest poniekąd takim właśnie eksperymentem, rozpoznamy bez podpowiedzi, co tu dla kogo i o czym? Mam wrażenie, że tak. Choć chyba, a nawet na pewno, nie od razu. Może bardziej nawet sercem niż umysłem. Szukając nie tyle „realistycznych” wyznaczników wiodących wprost do świata przedstawionego utworów czy tekstów. Ale raczej intuicyjnie rozpoznając bardziej uniwersalne, kulturowe znaki, a przede wszystkim poddając się temperaturze niejednoznacznych, ambiwalentnych emocji.

